

Satelita SX4 a sprawa Baroniovej

14 grudnia 2014

W środę po południu, zaraz przed końcem pierwszej zmiany w Zakładach Komponentów do Zup w Proszku „Prosz-smak”, na samochód prezesa spadł satelita szpiegowski RX4.

Miał stożkowato-walcowato-wklęsło-wypukły kształt, cztery nibyczułki, jedno lustro weneckie do podglądania, a także jeden ekran do przechwytywania czegoś, co zapewne znajduje się w przestrzeni kosmicznej.

Pracownicy budynku biurowego, którzy widzieli moment zderzenia, byli przerażeni. Satelita wbił się głęboko w limuzynę prezesa – srebrzystego Snobwagena Elegant Prestige Limited Edition, którego ten odebrał z salonu w Feuerguhl dwa dni wcześniej. Za chwilę prezes powinien pojawić się na dziedzińcu zakładów. Zawsze o 15:58 pojawiał się na dziedzińcu zakładów.

– Chyba szybko nie wyjdziemy. A stara zrobiła dzisiaj kopytka – powiedział cicho Stachanek. – Ale ja mam zwichniętą rękę – dodał szybko.

– Ty, Stachanek, nie kombinuj. Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji, więc się nie wywiniesz – ucięła pani Teresa.

Należało wyjść i zainteresować się obcym ciałem. Wyszli prawie wszyscy. Ten, kto nie wyszedł, był automatycznie zaliczany do grupy bardziej podejrzanych, więc nawet pracownicy drugiej zmiany woleli postać na dziedzińcu i pokazać się w tłumie, żeby później nie było.

Ktoś z tłumu rzucił:

– Te, Goniek, przyznaj się, że to ty i będzie po sprawie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Goniek, operatorowy mieszkarki konserwantów, który za dwa dni miał odejść na emeryturę. Stanął przy samochodzie, złapał jedną antenkę i udawał, że pozuje do zdjęcia, co natychmiast wykorzystał Mały Juruś, który pstryknął zdjęcie swoją komórką o matrycy 41,2 megapiksela. Ten niewiele wyższy od swoich spodni człowiek o chytrych oczkach oficjalnie donosił prowiant na stanowiska pracy, a nieoficjalnie donosił do prezesa.

Napięcie rosło, a satelita cichutko pykał swoją zaawansowaną elektroniką i dał się nawet lubić.

W końcu na dziedziniec wyszedł prezes w towarzystwie gościa z Warszawy, eleganckiej pani reporter z tygodnika.

– O widzi pani, jaką furorę robi moja limuzynia. Mówię pani, pani dyrektor...

– Reporter – przerwała, zrezygnowana ciągłym przypominaniem, dziennikarka.

– ... no mówię, że to przez to obicie drewniane z podwędzanego klonu senegalskiego.

W tłumie nagle zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na prezesa i czekali na jego reakcję.

Prezes, jak zwykle w takich sytuacjach (ostatnio, pół roku temu, gdy spadła mu komórka), zawył jak niedźwiedź, co należy skonfrontować z jego nazwiskiem Zajac Marian:

– Aaaaaaugharrrrraaaaagh!

Pracownicy Zakładów Komponentów do Zup w Proszku „Prosz-smak” wstrzymali oddech przed drugą częścią:

– Ghuurrrrrrrbanhaaarghaaa!

By potem nastąpiło krótkie i wyraziste:

– Dyrgh!

– Panie prezesie, może to wcale nie tak źle. Wóz teraz bardziej naszpikowany elektroniką, jakby... – próbował ratować humor pryncypała Mały Juruś, który zawsze w takich momentach pomagał szefowi zamienić się ze zwierzęcia w człowieka.

Prezesowi, jak zwykle popękały wszystkie naczynia włosowate w gałkach ocznych, zwłaszcza lewej, co zauważyła pani reporter, i, by oszczędzić sobie niemiłego widoku, przeszła na drugą stronę.

– Ja wam pokażę, już ja znajdę tego... już ja znajdę tego, co to zrobił. Boże, Boże, co ja powiem Hal... Jance (Janka była żoną Zająca, a Halina nie była).

Po chwili zastanowienia prezes powiedział:

– Kto to zrobił? No, przyznać się. Ja wam pokażę, wy. Kto to zrobił. I tak znajdę winnego!

– Panie prezesie, czy nie uważa pan, że coś, co wygląda na satelitę nie mogło powstać tu, w zakładzie? – postanowiła zbadać sprawę reporterka, wystawiając lewy profil w stronę publiczności.

– Jak to nie na zakładzie? Jak to nie na zakładzie? A gdzie? Wszyscy tu tylko czatują, żeby mi się coś... żebym się potknął, upadł, coś spadło, uderzyło, żebym zawału albo ataku, albo innego... A pani mi tu wyjeżdża...

– Ale to przecież...

– Pani się umilknie się z łaski swojej. Już byśmy byli w niebie, jakbym wyszedł normalnie, ale pani malowała te rzęsy długo, więc ciesz się pani, że panią uratowałem.

– Ale to ja pana raczej... – reporterka zbaraniała i schowała twarz w dłoniach.

– A to zabawne: jedno z nieba, a drugie do nieba – powiedział cicho Hirek, ale na tyle głośno, że parę osób mimowolnie się

zaśmiało.

Prezes nadstawił uszy:

– No, przyznać się, bo sam wybiorę. Ty Nosał, to na pewno ty. Nie dałem ci podwyżki od dziewięćdziesiątego szóstego. Ty masz coś do mnie. No, gadaj, skąd to miałeś.

Nosał cały przerażony odpowiedział:

– Ale jak ja mogłem, panie prezesie! Ja do kościoła chodzę co tydzień i spowiadam się, no jak ja mogłem. I nie znam się na elektryce, więc skąd ja miałem wiedzieć, co to jest.

– Nosał, już ty nie bądź takie niewiniątko. A radyjko, to kto ma w szafce? Ja? – fuknął Leonsjo.

– Leonsjo, ty mi nie podskakuj. Ty mi już raz wywinąłeś numer z kablem od laptopa, więc się ucisz... a może to ty zrobiłeś, tylko winę chcesz rzucić na innych! – ryknął prezes, podejmując nowy trop.

– Proszę państwa, to widowisko nie ma sensu. Ten obiekt jest produkcji amerykańskiej. O proszę, flagę widać – próbowała zakończyć to niemiłe widowisko dziennikarka.

Ktoś rzucił:

– Szymek ma siostrę w Chicago!

– Gdzie on jest, ta gnida, już ja mu pokażę!

Szymon wystąpił przed szereg, klęknął i zaczął szłochać:

– Panie prezesie, to nie ja. Ja mam rodzinę, ja nie mogę stracić pracy, ja muszę pracować. Z czego ja wyżywię dwójkę dzieci, i trzecie w drodze...

– Trzecie? – zainteresował się Zając. – Przecież mówiłeś, że twoja żona jest bezpłodna.

– Panie prezesie! – w przypływie złych emocji krzyknął Szymek.
– To naprawdę nie ja! To Stachanek. Widziałem go, jak niósł coś metalowego!

– Tylko nie Stachanek, tylko nie Stachanek. Ja nie mogę dźwigać, ja mam rękę zwichniętą! Już mówiłem – rzucił pewnie Stachanek, tak pewnie, jak ktoś, kto ma żelazne alibi. – A ty Bronuś, co tak cicho siedzisz. Coś przeszkrobałeś?

Poszukiwanie winnego trwało dobre dwie godziny, na tyle długo, że satelita przestał miło pykać, a puder zdążył zdematerializować się z lewego profilu pani reporterki. Po kilku minutach stagnacji nowy trop podjął Mały Juruś, który od dawna uważał, że za swoje zasługi powinien być mieć stanowisko dyrektorskie. Zaczął szukać wzrokiem Bohdana Pawickiego, dyrektora sprzedaży. Nie znalazł go.

– No właśnie, a dlaczego nie pomaga nam znaleźć winnego pan dyrektor Pawicki. Gdzie jest pan dyrektor Pawicki, może ktoś wie? Może w byłym pegeerze oni tam mają dużo żelastwa. – Mały Juruś się rozkręcał, ale nie musiał kontynuować, bo prezes podchwycił temat.

Przeszkadzały mu układy Pawickiego w gminie, w cechu i w związku. Po chwili już było prawie wiadomo, że to Pawicki, gdy w drzwiach budynku pojawił się właśnie omawiany.

Pawicki na swoich krótkich nóżkach szybko przydreptał na miejsce zdarzeń i w mgnieniu oka rozeznał się w sytuacji. Mały Juruś przycichł, a prezes jakby ochłonał z emocji.

– Ja myślę, wiecie, że tego nie zrobił ktoś, kogo można najbardziej o to posądzać. O nie. To był ktoś dużo bardziej sprytny. Taki, co to w życiu byś. Tacy są najgorsi.

– Ale kto?

– Niech pomyślę. Dajcie mi pomyśleć. Czy ktoś może przynieść mi trochę wody do pomyślenia?

– No kto, no kto, już ja mu pokażę!

– Baroniowa, wiecie, ta z pakowalni, jest cicha i pracuje właśnie na pakowalni, więc kto tam wie, co robi w gruncie – rzekł teatralnie Pawicki, a brzmiało to jak wyrok.

– No tak, to chyba Baroniowa, taka cicha, a kiedyś powiedziała, że zmęczona jest. I to rano!

– Baroniowa. Ja też tak uważam, że to ona. Od samego początku uważałam, że ona, bo jej nie lubię, bo poprawia po mnie paczki... – dorzuciła Martysia z pakowalni.

– A ty też z pakowalni?

– A nie, nie, ja tylko przelotem.

Prezes podejmował w myślach decyzję, patrząc skrzywiony bólem na Snobwagena RX4. Była to jego pierwsza decyzja w tym dniu.

– Ja wam pokażę... wszystkim cofam premię, a Baroniowa wylatuje z pracy! Ja wam pokażę, ja wam...

– Ale pan prezes cofnął premię pół roku temu – rzucił ktoś nieśmiało.

Jadwiga Baroniowa, zwana przez niektórych cynicznie baroniową Jadwigą (pochodziła z rodziny podupadłych właścicieli okolicznego dworku), była w tym czasie na urlopie i pchała zesputego poloneza ze swoim mężem w środku w drodze do teściów, gdzie zamierzali spędzić kilka dni w ciszy i spokoju.

Autorstwo: Piotr Kowalczyk

Źródło: [Password Incorrect](#)

Licencja: [CC BY-NC-ND 2.5](#)